

Kwiaty na lodowcu. HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition

Na Chana i... Pobię? I to w dodatku z babami? Pomysł zahaczający o szaleństwo. Ale właśnie taka idea zrodziła się jednocześnie w kilku głowach. Każda z nas i tak pojechałaby w tym roku w Tien-Szan. Dlaczego więc nie pojechać razem, w kobiecym składzie? Spróbować, jak to jest być zdane tylko na siebie. Podnieść sobie samym poprzeczkę.

W ostatecznym składzie zostajemy tylko trzy: Ola Ihnatowicz, Asia Stasielak (obydwie KW Warszawa) i ja (KS Kandahar). Plan wyprawy zakłada najpierw działanie w czysto kobiecym stylu na Chan Tengri, do skutku. Lepiej wrócić z jednym szczytem niż z żadnym. Dopiero po zakończeniu akcji górskiej na Chanie spróbujemy zmierzyć się z Pikiem Pobjedy – górą mającą sławę jednej z najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych na świecie. I tutaj już bierzemy pod uwagę możliwość, że na szczyt wyruszy tylko część z nas, że może trzeba będzie się „podpiąć” pod jakiś męski zespół.

13 lipca „HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition” wyrusza do Kirgistanu. Lot do Biszkeku i przejazd z przygodami przez Kirgizję odbywamy wspólnie z „Almanak Expedition” – polską wyprawą na Chan Tengri. W Maida-Adyr, skąd do bazy leci się helikopterem, drogi obu grup mają się rozejść. Oni planują atakować Chan Tengri wariantem północnym, trudniejszym, lecz bezpieczniejszym. Lecą więc do bazy na lodowcu Inylczek Północny. Nas plany związane z Pobjedą skazują na wchodzenie na Chana od strony Inylczeku Południowego, drogą łatwiejszą, ale narażoną na lawiny. Dowiadujemy się jednak, że początek sezonu jest wybitnie śnieżny. Jednocześnie okazuje się, że lot z jednej do drugiej bazy wcale nie przerasta nas finansowo. I tak oto wieczorem przed odlotem, podczas imprezy integracyjnej z Czechami, zapada spontaniczna i słuszna decyzja: obydwie polskie grupy lecą na północ. Na południe przeniesiemy się, jak zrobimy Chana.

17 lipca lądujemy w bazie północnej. Kontynuując tradycję polskich wypraw niskobudżetowych, chcąc uniknąć opłat, stawiamy osobną „polską bazę” niedaleko kirgiskiej. Jest jeszcze jedna baza – kazachska, pół godziny drogi od kirgiskiej. Faktycznie leży ona już na terytorium Kazachstanu, choć ani słupka granicznego, ani pogranicznika, nikt tu nigdy nie widział. Nad obiema bazami i lodowcem góruje piękna, wieczorami przybierająca czerwona barwę, bryła Chan Tengri. Naprawdę niesamowite miejsce.

Nazajutrz ruszamy w górę w celu założenia jedyńki. Jakoś tak wychodzi, że idziemy wspólnie z damską częścią Almanak Expedition – Izą Kamińską i Agą Konopką. Odtąd ich drogi częściej będą pokrywały się z naszymi niż chłopaków i w końcu uznamy, że nasz Female Team tworzymy nie w trójkę, a w piątkę. Jeśli dodać do tego dziewczyny z innych krajów, w tym nie tylko te idące z mężami czy przewodnikami, ale i kilka działających w zespołach kobiecych, okazuje się, że Chan Tengri to bardzo sfeminizowana góra.

Droga do jedyńki nie przedstawia trudności. Po stromym śnieżnym podejściu, w miejscu przekraczania szczeliny, zaczyna się łańcuch poręczówek. Później trawers, podejście, pośredni obóz, tzw. niższa jedyńka, znów śnieżne podejście i jesteśmy na miejscu, na 4600 m. Kopiemy platformę, stawiamy żółtego HiMountaina, gotujemy i wracamy do bazy.

Ponieważ Asia nie najlepiej się czuła na górze, kolejne wyjście, mające na celu postawienie wyższych obozów, rozpoczynamy dopiero dwudziestego, po dniu odpoczynku w bazie. Na szczęście tym razem w jedynce wszystkie czujemy się dobrze, nazajutrz wyruszamy więc do dwójki, położonej na ok. 5500 m. Koledzy nastraszyli nas długością i trudnością trasy, decydujemy się więc, zamiast wracać do jedyńki na noc i kolejnego dnia wynosić resztę rzeczy, pójść z wszystkim na raz, a wysiłek tego dnia zrekompensować sobie nazajutrz słodkim nic nie robieniem w dwójce. Droga do obozu z ciężarem i bez aklimatyzacji zajmuje faktycznie 7-8 godzin i jest męcząca, ale skałki okazują się łatwe, a całość trasy porządnie

zaporęczowana. Dwójka znajduje się komfortowym plateau – chyba jedynym kawałku płaskiego terenu z tej strony góry.

Kolejnego dnia, tak jak sobie obiecałyśmy, odpoczywamy w obozie. Niektórym wysokość o sobie przypomina, ale nie na tyle dramatycznie, żeby było konieczne zejście. 23 lipca ruszamy więc do góry z zamiarem założenia trójki. Chcemy najpierw postawić obóz na wierzchołku Ramienia Czapajewa i tam spędzić noc. Zależy nam na dobrej aklimatyzacji, także pod kątem drugiej góry. Dopiero po przespaniu nocy na 6100 planujemy przeniesienie obozu na leżącą na 5800 m przełęcz, gdzie nasza droga spotyka się z południową i skąd rozpoczyna się atak szczytowy.

Już na początku trasy Asia jest zmuszona zawrócić. Nie jest jeszcze w dobrej formie, najwyraźniej potrzebuje więcej czasu na aklimatyzację, nie ma więc sensu, żeby szła wyżej. Ola i ja ruszamy z kopyta, na zaporęczowanych stromych skałach szybko zyskujemy wysokość i na Czapajewa docieramy w niezłym czasie ok. 4 godzin. Stąd pierwszy raz widzimy Pobiedę. Robi wrażenie. Stawiamy namiot i uciekamy przed nadciągającymi chmurami do dwójki. Tu okazuje się, że Asia, czując się dobrze, poszła już sama do bazy. Nam się zwyczajnie nie chce. Śpimy w dwójkę.

Na drugi dzień na dół niemal biegniemy, choć wyruszamy bez śniadania. W jedyńce obiecujemy sobie bowiem zjeść coś normalnego, tutaj mamy tylko liofilizaty. Nawiasem mówiąc Ola i ja znakomicie się dogadujemy w kwestiach kulinarnych. Obydwie bez przerwy rozmawiamy o jedzeniu, obydwu apetyty wraz z wysokością rosną zamiast maleć. W końcu stwierdzamy u siebie istnienie wysokogórskich pasożytów – tasiemców, ale wyjątkowych, bo będących płci żeńskiej. Ola ma Matyldę a ja Klotyldę. One również stają się pełnoprawnymi członkiniami Female Team.

W bazie tasiemice i my jesteśmy wreszcie szczęśliwe, korzystając z wszelkich dóbr, jakie to miejsce oferuje. Dowiadujemy się, że na najbliższe dni szykuje się załamanie pogody, doradzamy więc wszystkim pozostałym zejście. Aga i Iza i tak schodzić muszą, i to szybko. Spały na Czapajewie, rano podczas pakowania wiatr porwał im jeden śpiwór i karimatę. Załatwiamy wypożyczenie zapasowego sprzętu, szykujemy się do wyjścia. Na szczęście nie jest to konieczne, bo wieczorem dziewczyny docierają do bazy. Zresztą poinformowani o całej sytuacji przewodnicy w jedyńce chętnie by je przygarnęli do swoich śpiworów, jednak nie chciały skorzystać.

Kolejnego dnia wysypiamy się, jemy, kąpiemy, odwiedzamy to jedną, to drugą bazę. Załamanie pogody faktycznie wieczorem przychodzi, niedługo po zejściu naszych kolegów. Niezbyt dobra pogoda utrzymuje się też następnego dnia, 27 lipca. Niestety 28-go, który już ostatecznie miał być dniem wyjścia, nadal jest zmienna. We mnie uaktywnia się górskie ADHD. Gdy tylko przestaje padać i mgły się rozstępują, chcę iść do góry, torować sama do jedyńki. Jednak reszta zespołu nie podziela mojego nastroju, znów siedzimy w bazie. Jeszcze gorzej jest gdy kolejnego dnia pogoda też jest średnia, choć moim zdaniem na wyjście z bazy do jedyńki w zupełności wystarczająca. Ale nie – siła większości skutecznie powstrzymuje mnie przed wyjściem. Piąty dzień w bazie. Żeby nie zrobić nikomu krzywdy idę biegać po morenie. Tego wieczoru głupio nam dokonywać kolejnego najazdu na bazę kirgiską, jako namiot socjalny wykorzystujemy więc... nasz trzyosobowy HiMountain Yeti's Residence. I okazuje się, że wcale trzyosobowy nie jest, gdyż może w nim siedzieć osób dziewięć, w dodatku grając w kości.

Trzydziestego wreszcie wychodzimy. Pogoda idealna. Będąc na przełęczy można by dziś atakować szczyt. Śpimy w jedyńce. Do dwójki idziemy kolejnego dnia. W nocy pada śnieg, wieje, namiot kładzie się na nas. Rano nikt nie wychodzi. Ale około 9-10 poprawia się na tyle, że kilka osób wyrusza w górę. Dziewczyny nie chcą iść, z drugiej ekipy też nikt się nie rusza, ale mnie roznosi. Chcę też sprawdzić co z naszym namiotem na Czapajewie. Gdy zbliżała się niepogoda akurat korzystali z niego koledzy z drugiej wyprawy, poprosiłyśmy

więc, aby go poskładali, żeby nie porwał go wiatr. Teraz nie wiemy, czy go znajdziemy. Jednak nawet ten argument nie przekonuje pozostałych. Nie chcę awantury, zdejmuję szpę i plecak, zostaję. Zresztą może to i nie najlepszy dzień, dziś pierwszy sierpnia, rocznica tragicznych wydarzeń na Piku Korzeniewskiej...

Na Czapajewa ruszamy kolejnego dnia. Ola, Tomek z wyprawy Almanaka i ja rwiemy do przodu. Ku naszemu miłemu zaskoczeniu wkrótce kończy się torowanie, śnieg jest wywiany, na skałach mamy więc ten komfort, że nikt nam nie zrzuci na głowy, nikogo nie trzeba wyprzedzać, a mozolnie posuwający się ogonek, w którym niestety iść musi Asia, został daleko w dole. Na Czapajewie ku swej radości dostrzegamy pod śniegiem zmietoszony żółty materiał, któremu po kilku godzinach pracy przywracamy kształt naszego namiotu.

Kolejnego dnia tylko krótkie zejście na przełęcz i odpoczynek przed planowanym na jutro atakiem. Trasa wiedzie łatwym, śnieżnym terenem, poza dwiema szczelinami niezaporeczowanym. Widać, że obok jest nawis, ale kopiąc się w śniegu po kolana nie mamy świadomości, że właśnie przechodzimy najniebezpieczniejszy odcinek całej drogi. Stawiamy obóz na przełęczy.

„Jeśli góry są szkołą czekania, to Tien-Szan szczególnie” – ten tekst z mojego dziennika wyprawy może posłużyć za motto kolejnych dni. W nocy wieje i sypie. Stres, żeby nie przespać budzika. O trzeciej nad ranem drę się na cały obóz: - Anyone going up? Cisza. Może za godzinę, może za kolejną. W końcu wiadomo – dziś nie ma szans na atak, leżymy cały dzień w namiotach. I na drugi dzień to samo.

Statystyka wejść od północy w tym sezonie nie nastraja optymistycznie. Przed załamaniem pogody wszedł Igor z Rosji z przewodnikiem Slavikiem – para „cyborgów”, bijąca rekordy czasów. Dwa dni temu trójka Krasnojarców, którzy mają na koncie nową drogę na Pobiedzie, a teraz przymierzają się do północnej ściany Chana. Podobno były też jakieś wejścia od południa, ale generalnie nie jest dobrze. My cyborgami nie jesteśmy.

Trzeciego dnia w końcu próbujemy. Częściowo dlatego, że próbuje ekipa Almanaka – dla nich to ostatnia szansa, muszą schodzić na śmigło. Wychodzimy Asia i ja, Ola nie ufa pogodzie. A pogoda nie jest wiele lepsza niż wcześniej, zresztą uspokoiło się na tyle późno, że wychodzimy dopiero o szóstej. Znowu nadciągają chmury, widoczność słaba, coraz mocniej wieje. Kolejne osoby zawracają, zostaje tylko Tomek i ja. Wiem, że szanse mamy małe, a jeśli zawrócimy wyżej, ja już nie będę miała sił na drugą próbę. Namawiam więc Tomka do odwrotu. Kiedy dochodzimy do obozu, wychodzi słońce, choć wieje nadal. Żałujemy, bo dwie osoby tego dnia weszły na szczyt. Ekipa Almanak Expedition schodzi na dół.

Siódmy sierpnia. Ta noc była inna. Już wiem, że wreszcie dostałyśmy swój dzień. Startujemy o piątej, razem z nami czterech Turków i rosyjskie małżeństwo. Idąc w ogonku po poręczówkach nie sposób trzymać się razem. Zresztą już pierwsza próba czekania na dziewczyny przekonuje mnie, że po prostu się nie da, zamarłabym. Ale pogoda jest idealna, możemy sobie pozwolić na to, by każda szła swoim tempem i w razie czego zawróciła. Ruszam więc dalej wzdłuż poręczówek do góry. Zatrzymuję się tylko na moment na 6700. Tu leży zapakowane w worek ciało Polaka, który zamarł rok temu...

Dalej kuluarem, szybko, bo zimno, ku słońcu. Postacie pozostałych stały się małymi ludzikami gdzieś w dole, mogę się tylko domyślać, czy dziewczyny idą, czy zawróciły. Ale wiem, że na szczycie powinnam być najpóźniej o 14, więc muszę iść. Ponad przełęczką spotykam dwójkę schodzącą ze szczytu; wyruszyli z prowizorycznego obozu czwartego na 6400. Mówią, że jeszcze prawie 2 godziny po polach śnieżnych. Dobrze, że przetorowali. Jakże te ostatnie sto kilkadziesiąt metrów jest nudne! Ale w końcu widzę: trójnog, krzyż. Jest 13:50. Jestem sama, inni pewnie zawrócili. Tylko góra i ja. Widoki powalające. Miotam się, żeby zrobić sobie sama zdjęcia z flagami. Aparat dał radę, wejście potwierdzone. O czternastej zaczynam schodzić.

Ku swojemu zaskoczeniu spotykam Turków i rosyjską parę. Mówię, że jeszcze daleko, ale idą dalej. W kuluarze spotykam Asię. Mówi, że Ola nienajlepiej się poczuła i zawróciła, a ona sama, choć wie, że na szczyt raczej nie zdąży, chce iść w górę do siedemnastej. Próbuję ją namówić do odwrotu. Ale nikogo nie da się zawrócić na siłę – Asia rusza do góry, ja w dół.

Do obozu dochodzę naprawdę zmęczona. Ola wychodzi z herbatą. Pakuję się do śpiwora. Z niepokojem czekamy na Asię świadome, że w razie czego tylko Ola jest w stanie wyjść do góry, ja nie mam sił. Asia wraca po dwudziestej. Do szczytu zabrakło jej mniej niż 100 metrów pól śnieżnych, zawróciła, bo było już późno.

Asia i Ola nie chcą podejmować kolejnej próby, więc nazajutrz schodzimy. Ale żeby zejść, trzeba najpierw wyjść na Czapajewa. Ola pomyka żwawo, Asia i ja powłóczymy nogami. Później szybkie zjazdy do dwójki. Zejście do jedyńki trwa długo, plecaki ciężkie, poręczówki pomarżnięte. Do obozu dochodzimy o 21:00. Ja tradycyjnie się przeładowałam, więc ostatnie kilkaset metrów pokonuję... na kolanach. Kolejnego dnia schodzimy już na luzie, choć plecaki wgniatają w ziemię. W południe jesteśmy w bazie.

To, co dzieje się później, jest jak sen. Pojawia się Misza – szef bazy kirgiskiej wraz z kazachskimi przewodnikami, gratulują i wręczają nam... kwiaty i czekoladki! Różowe róże, przywiezione specjalnie dla nas helikopterem. Później jedzenie, kąpiel. Znow jesteśmy ludźmi. A wieczorem impreza u Kazachów i niezapomniany nocny powrót przez lodowiec. Nazajutrz snu ciąg dalszy. Ta baza, ci ludzie, ta góra nad nami. Wszystko jest idealne.

Ale sielanka nie może trwać długo. Kolejnego dnia, 11 sierpnia, lecimy do bazy na Inylczeku Południowym. Spotykamy tu Igora, który z kolejnym supermocnym przewodnikiem Gieną szykuje się na atak na Pobjedę, a także dwóch Polaków, Andrzeja i Tomka, którzy atakują Chana. Więcej klientów w naszej bazie nie ma. Jest jeszcze druga baza, tam jest więcej ludzi.

Trzeba zaplanować dalszą akcję. Ola nie czuje się na siłach i rezygnuje z Pobjedy. Asia chce iść, ale potrzebuje jeszcze dnia odpoczynku. Giena udziela szczegółowych wskazówek i radzi, żeby wyjść jutro z nimi, bo droga do jedyńki jest trudna orientacyjnie. Chcę iść z chłopakami sama, zostawić depozyt, wrócić i kolejnego dnia iść z Asią. Ale przed jedyńką są szczeliny, Giena odradza samotny powrót. Nazajutrz idę więc z nimi do początku szczelin, tam zostawiam depozyt, życzę chłopakom powodzenia i wracam sama.

Kolejnego dnia, nie przejmując się złowróżbną datą 13 sierpnia, Asia i ja wyruszamy z bazy. Labirynt seraków i szczeliny przebywamy bez problemów. Lokujemy się w pustym namiocie Irańczyków kilkaset metrów przed właściwym obozem. Rano wita nas ponad pół metra świeżego śniegu i widoczność sięgająca końca własnego kijka. Po omacku przez pole minowe zasypanych szczelin brniemy do obozu, żeby spytać, czy ktoś idzie do góry. Jeszcze nie wiedzą. Czyli sprawa jasna: pójdą jak przetorujemy. Spotykamy dwójkę schodzącą ze szczytu. Ale mimo ich śladów stwierdzamy, że torując same pod lodospad „zajedziemy” się już na starcie. Zostajemy.

Kolejnego dnia pogoda bez zmian. Asia stwierdza, że nie ma już motywacji do walki z tą górą i chce schodzić. W dodatku szef naszej bazy na łączności straszy, że gdy tylko Andrzej i Tomek, którzy właśnie utknęli przez masy śniegu na Chanie, oraz Igor i Giena, zejdą, zwija bazę i nie będzie na żadną z nas czekał. Wszystko idzie nie tak. A jednak postanawiam zostać. Chociażby „podpiąć” się pod kogoś, wejść na przełęcz Dziki, zrobić rekonesans przed przyszłym rokiem i z Gieną i Igorem zejść na śmigło.

W jedyńce prawie wszyscy zbierają do wycofu. To dobrze, Asia zwiąże się z nimi, problem szczelin mamy z głowy. Zostaje jeden zespół, który przybył wczoraj wieczorem. To czwórka chłopaków, których poznałyśmy w bazie kazachskiej: Losza Bażenow, Wład Czechłow i Andriej Korneew z Kazachstanu oraz Israfil Ashurly z Azerbejdżanu. Pracują na Chanie przy zakładaniu poręczówek, jako przewodnicy i ratownicy. Tutaj są dla siebie, chcą

skompletować „Śnieżną Panterę”. Też idą stylem alpejskim. Zanim rozstajemy się z Asią od Loszy dostajemy... kwiaty.

Asia poszła. Siedzę sama w namiocie. Nie mam odwagi zaproponować chłopakom wspólnego działania, na pewno nie chcieliby na jedną z najniebezpieczniejszych gór świata brać ciężaru w postaci baby. Spróbuję za nimi nadążyć, sama z trzyosobowym namiotem. Tymczasem... to oni proponują mi wspólne wyjście. I to nie na zasadzie luźnego „podłączenia się”, tylko jako jeden zespół – z ich namiotem, z wspólnym jedzeniem.

Kolejnego dnia pogoda jest lepsza, ale nie wychodzimy, trzeba poczekać aż poschodzą lawiny. Po południu na lekko Losza, Wład i ja idziemy przekopać się powyżej lodospadu. Przez radio dowiadujemy się, że Igor i Giena byli dziś na szczycie i... schodzą od razu na dół. Czyli albo nie idę nigdzie i wracam z nimi z jedyńki, albo palę za sobą mosty i idę z chłopakami na szczyt, licząc się z tym, że mój wyjazd się przedłuży, a Asia i Ola nie będą mogły na mnie poczekać. Długo się nie zastanawiam. Na łączności proszę dziewczyny o przebukowanie samolotu. Wiem, że to wszystko jest szaleństwem. Ale czasem trzeba być szalonym.

17 sierpnia po nieprzespanej nocy, przerwanej przybyciem po 23:00 Gieny i Igora, wyruszamy. Plan na dziś: dotarcie od razu do trójki, do jamy na 5800 m. Na lodospadzie trochę klniemy pod ciężarem plecaków. Jeszcze nie jest zimno, podziwiamy widoki. Szybko mijamy dwójkę na plateau i podchodzimy na Przełęcz Dziki. Teraz bardzo długie i strome śnieżne podejście. Torujemy na zmianę. Pod koniec jestem tak zmęczona, że nie mam siły się ubrać, a robi się coraz wietrzniej i zimniej. Pomaga mi Wład. W końcu docieramy do jamy. W piątkę jest ciasno, więc nawet ciepło.

Kolejnego dnia na szczęście chłopaki zaplanowali przeskok tylko o jeden obóz, na 6400. Jest zimno i wieje, ale kurtka i spodnie z primaloftu się sprawdzają. Na skałach są poręczówki sprzed dwóch lat. Jakość różna, ale dobrze, że są. Później pola śnieżne i znów zaporęczowane skałki. Na 6400 stawiamy namiot na niewielkim wypłaszczeniu pod kamieniem.

W nocy i rano wieje tak, że wychodząc do toalety zastanawiam się, czy się nie przywiązać repsnurem do namiotu. Około dziesiątej wiatr trochę słabnie, a widoczność z żadnej robi się średnia. Wychodzimy. Najpierw zaporęczowane skały, wyżej pola śnieżne, wreszcie szczyt Pobiedy Zachodniej. Po długich poszukiwaniach znajdujemy wypłaszczenie na grani – obóz piąty. Jest tu jeden podarty porzucony namiot oraz jama z... nieboszczykiem. Podobno byli w dwójkę, wiatr rozszarpał im namiot, uciekli w panice, później jeden odkopał swoje rzeczy, a drugi nie, więc ten jeden poszedł w dół, a drugi tu został i zamarzł. Nie mogę w to uwierzyć, jak to, zostawił partnera?! Nie wiem jeszcze, co znaczy Pobieda. Ale wkrótce mam się tego dowiedzieć...

Kolejnego dnia nie udaje nam się wyjść. Po prostu się nie da, boimy się, czy namiot wytrzyma. Z dołu do piątki dociera pięć osób. Chłopacy mówią, że to starzy wyjadacze. Planujemy wspólny atak na jutro. Bierzymy nasz namiot i sprzęt do gotowania, żeby awaryjnie zostawić je na końcu czterokilometrowej grani, pod Obeliskiem, u stóp właściwej kopuły szczytu.

Dwudziesty pierwszy sierpnia. Wieje niewyobrażalnie, zimno straszliwie, nic nie widać, ale nikt nie kwestionuje dzisiejszego planu ataku. Po dwóch nocach na 7000 nie jesteśmy zbyt rześcy. Wychodzimy po piątej. Postać, idąca przede mną, niemal biegnie po grani, nie mogę nadążyć, muszę torować, bo zawiewa ślady. Nie wiem jeszcze, że to Aleksander Puczenin, drugi po Denisie Urubko. Wreszcie ktoś mnie wyprzedza. Jesteśmy pod Obeliskiem. Pozbывamy się depozytu i szybko ruszamy w górę, żeby nie zamarznąć.

Zimno. Mimo ostrego tempa nie udaje mi się utrzymać czucia w rękach i nogach. Schodzić? Nad tym samym zastanawia się obok dwóch panów, których ochrzciłam Cyborgami; jeden z nich był na górze już cztery razy. Moi chłopacy wyprzedzają mnie. Próbuję jeszcze rozgrzać się w pierwszych promieniach słońca, ale to nic nie daje. Więc

wycof. Ale – jak? Teren łatwy nie jest, a ręce i nogi mam jak drewniane kołki. Wład zauważył, że coś nie tak, zawraca, chce mi pomóc. A ja... krzyczę na niego, że ma iść na szczyt. Trudno, sama tu polazłam, to teraz zostanę, ale po co on ma tracić szansę. Może zejść z dwoma Cyborgami. Ale nie, oni już szybko ulotnili się na dół. Wład jest uparty. Daje mi swój czekan, schodzi przede mną. Wściekła na siebie schodzę pod Obelisk, gdzie Cyborgi rozstawiają już namiot. Podobno zawróciliśmy gdzieś z 7200.

Po chwili dołącza do nas Losza, zanoszący się od kaszlu, oraz Sierioga z ekipy Cyborgów. Wkrótce musimy jednak zwolnić miejsce w namiocie dla tych, którzy są u góry i pewnie spędzą tu noc. A na górze jest Israfil, Andriej, Rosjanin Pasza i Puczenin. Dwóch Cyborgów będzie na nich czekać, w razie czego wyjdą do góry. Sierioga, Wład, Losza i ja mamy wracać. Ciężki powrót czterokilometrową granią. Na początku zmieniamy się na torowaniu, eskortując ślaniającego się Loszę. Później już umieramy wszyscy. Podobno szliśmy sześć godzin. Ja nie wiem, padam w pierwszym namiocie, obok Loszy.

Rano nie mogę się dobudzić. Cyborgi wracają spod Obelisku. Israfil, Pasza i Puczenin byli na szczycie, Andriej się wycofał. Cyborgi każą nam opuścić swój namiot, zaraz zabierają go na dół. Naszego chłopacy postanowili nie rozstawiać, też mamy od razu schodzić. Nie umiem ubrać butów, uprząży, raków – ręce nie nadają się do niczego. W obozie chaos. Standardowo wieje nieziemsko i jest strasznie zimno. Ktoś rzucił hasło, że jutro z drugiej bazy jest śmigło, chcą zdążyć. Kolejne osoby schodzą na dół. Ktoś pomaga mi się wyszpeić, próbuję iść, czekan wypada mi z ręki, płacze się na repie pod nogami, nie umiem go podnieść. – Jeśli chcesz żyć – mówi Losza, któremu się nieco poprawiło – to musisz umieć utrzymać czekan i kijek – i idzie. Acha – myślę - to ja może tu zostanę, odpocząć jeden dzień, który przedłuży się w wieczność... Ostatnia nadzieja to Wład. Biega wciąż jak matka Polka wokół naszych, którzy zeszli ze szczytu. W końcu podchodzi do mnie, ubiera na zeszytniałe ręce dodatkowe łapawice, mocuje czekan w szpejarce, bierze mój kijek. I każe iść.

- No, tym razem masz pół procenta szans – myślę sobie, patrząc na czekające mnie, niby krótkie, podejście na Pobiedę Zachodnią. Pięć kroków i na kolana. Próbuję do dziesięciu. Daję radę. Wład jak cień idzie za mną. Wreszcie szczyt, zejście. I nadzieja, że się uda. Wład pierwszy, ja po jego śladach. Powoli wytracamy wysokość. Jest coraz lepiej. Aż do momentu, gdy zaczynają się skały i poręczówki. Zjeżdżać bez użycia rąk się nie da, w dwójkę też nam nie wychodzi. Właśnie minęło nas dwóch Cyborgów. Mają linę, przydałaby się. Ale im się przecież tak bardzo spieszy na śmigło. Idą na dół. Wisząc przy mnie na poręczówce Wład oznajmia: - Słuchaj, albo zjedziesz sama, albo obydwoje zostaniemy tu jako śniadanie dla wron. I wiem, że on naprawdę jest gotów tu ze mną zostać. Nie! Próbuję zjeżdżać, idzie strasznie wolno, ale się da. Wład mnie przepina, poprawia łapawice jak małemu dziecku. Znów wierzę, że się uda. Niżej mniej wieje i jest cieplej, dłonie rozgrzewają się na tyle, że jestem w stanie sama wpinać karabinek. Linę okręcam wokół ręki jak w kluczu francuskim i tak zjeżdżam. Idzie mi średnio, kilka razy spadam, ale zyskujemy czas. W końcu daję radę zjeżdżać normalnie, iść z czekanem. Dochodzimy do jam na 5800, gdzie odpoczywają nasi koledzy. Wygląda na to, że się udało.

Później już wspólne zejście do jedyńki, na drugi dzień do bazy chłopaków. To, jak zostajemy tam przyjęci, przechodzi wszelkie nasze wyobrażenia. Wład zostaje okrzyknięty „gierojem”. Moja baza jeszcze stoi, choć dziewczyny musiały ją już opuścić. Śmigło jest kolejnego dnia, chłopaki odlatują do Kazachstanu, a ja ze spotkanymi znajomymi idę do Maida-Adyr trekkiem. Na nizinach trawa jest jakby bardziej zielona niż gdy wylatywaliśmy, kwiaty bardziej pachną. A może to przez nią – Pobiedę? Dzięki, Wład.

„HiMountain Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition 2009” mogła dojść do skutku dzięki następującym firmom, instytucjom oraz mediom:

HiMountain, Polski Związek Alpinizmu, Klub Skialpinistyczny Kandahar, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, AWF Kraków, Reni Sport, Inhead, Xann Design, Olympus, Garmin, Lifesystems, Marsat, Teleexpress, TVP Kraków, Radio Kraków, Tygodnik Podhalański, Traveler, Góry, Onet.pl, Wspinanie.pl, Ceneria.pl, Wspinaczki.pl, NEWW, Obywatel.

Aleksandra Dzik